

MONIKA SZNAJDERMAN

Wydawnictwo Czarne

<https://orcid.org/0000-0003-0766-7572>

Fragmenty pewnej podróży

Fragments of a Journey

Abstract

The text is a two-threaded story in which historical and contemporary storylines intertwine. The author describes pogroms in Western Galicia in 1870, 1898, 1918–1919 and pogroms in Eastern Galicia in 1941, commemorating their victims and showing the broader context. The highlight is a contemporary journey to Ukraine in the footsteps of the protagonists: in Zolochiv/Złoczów, Skhidnytsia/Schodnica, and Drohobych. Monika Sznajderman looked for biographical and literary clues. It is also a journey in search of the first and last images experienced by Bruno Schulz. A fragment of a larger whole devoted to the Jewish history of Gorlice.

Keywords: Galicia; pogroms; 1941; Zolochiv; Skhidnytsia; Bruno Schulz; Drohobych; Ukraine

Abstrakt

Antropologiczna opowieść o odbytej w czasie wojny w Ukrainie podróży szlakiem wschodniogalicyskich pogromów z lipca 1941 roku. Autorka szuka śladów po swojej babce zamordowanej w Złoczowie, poprzez świadectwa literackie i historyczne opowiada o pogromie w Schodnicy i zanurza się w świat Brunona Schulza, by w jego książkach szukać tropów zapowiadających przyszłe wydarzenia w Drohobyczcu i tej części Europy.

Słowa kluczowe: Galicja; pogrom; 1941; Złoczów; Schodnica; Bruno Schulz; Drohobycz; Ukraina

O autorce

Monika Sznajderman – antropolożka kultury; stopień doktora nauk humanistycznych otrzymała w Instytucie Sztuki PAN w Warszawie. Autorka książek *Zaraza. Mitologia dżumy, cholery i AIDS*; *Współczesna Biblia Pauperum. Szkice o wideo i kulturze populamej*; *Błazen. Maski i metafory*; *Falszerze pieprzu. Historia rodzinna* oraz *Pusty las*. Redaktorka kilku antologii esejów, między innymi *Nostalgia. Eseje o tęsknocie za komunizmem*; *Znikająca Europa* (z Kathariną Raabe); *Jako dowód i wyraz przyjaźni. Reportaże o Pałacu Kultury* (z Magdaleną Budzińską) i *Przecież ich nie zostawię. O żydowskich opiekunkach w czasie wojny* (z Magdaleną Kicińską). Od 1996 roku prowadzi Wydawnictwo Czarne. Za książkę *Falszerze pieprzu* uhonorowana Nagrodą im. Marii i Łukasza Hirszowiczów, Nagrodą Literacką Miasta Radomia oraz Nagrodą im. Jerzego Turowicza. Została również wyróżniona przez Kapitułę i Dyрекcję Fundacji im. Jerzego Bonieckiego – Polcul za działalność społeczną, wydawniczą oraz popularyzację czytelnictwa, a także nominowana do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego (2017), Nagrody Literackiej Nike, nagrody Śląski Wawrzyn Literacki oraz do Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus. Laureatka nagrody „Portrety 2019” przyznawanej przez miesięcznik „Kraków” za książkę *Pusty las*. Za tę książkę została również nominowana do Nagrody Literackiej Nike. Urodziła się w Warszawie, od ponad trzydziestu lat mieszka w Beskidzie Niskim.

Fragmenty pewnej podróży

Znowu tam pojechaliśmy. Był październik w drugim – choć tak naprawdę ósmym – roku wojny. W Złoczowie nie było wody, ale było życie. W restauracji młode kobiety śmiały się nad szklankami z coca-colą, a ich chłopaki były w wojsku. Kobiety w średnim wieku też się śmiały nad talerzami pełnymi mięsa, a ich mężowie walczyli w okopach. Tak, śmiech unosił się nad stolikami i jeszcze było jasno, ale w oddali już gęstniał mrok. Tego dnia dowiedzieliśmy się, że na wojnie zginął brat naszego przyjaciela Saszki. Był chory, mógł nie walczyć, ale chciał, poszedł i zginął.

Jechaliśmy powoli. Z Cieszanowa do Żółkwi i potem na Busk. Dzień był krótki i kiedy dojeżdżaliśmy, prawie zawsze było już ciemno. W Żółkwi spaliśmy w hotelu wielkim jak lotniskowiec, z basenem. Hrywna szorowała po dnie i było nas stać. Wychodziliśmy na spacer, pilnując, by wrócić, zanim zacznie się godzina policyjna. W powietrzu wisiało coś nierzeczywistego, coś między snem a mgłą. Hotelowe korytarze były ciche, basen błękitny i pusty. Tylko kilka postaci w białych szlafrokach przechadzało się wokół. Szare światło, błękit wody, biel szlafroków – a w oddali wojna. Trochę jak u Hoppera, tylko u niego jej nie było. Obca w tym pejzażu, nie miałam nic do roboty i nie wiedziałam, czego szukam, krążąc po bezkresnym rynku, zaglądając w ciemność sklepionych bram i patrząc na czarną rzekę płynącą wśród zarośli w dole. Na bramach wisiały nekrologi, czytałam je, choć przecież nie znałam tu żadnych zmarłych. Padał deszcz.

W Złoczowie zamieszkaliśmy w hotelu Złota Podkowa, cały był elegancki i złoty. Z okna naszego pokoju na drugim piętrze widziałam czerwone dachy zamku wystające znad obronnych wałów. Padały na nie złote promienie październikowego słońca. Tak, tym razem w Złoczowie wszystko było złote – i lampy w naszym hotelu, i ściany, i zasłony, i powietrze, i liście zaścielające aleję u stóp zamkowej bramy. A ja nie złota pożałowałam, lecz śladu lub wspomnienia. Ale Złoczów milczał.

Gdybym mieszkała nie na drugim, lecz na trzecim piętrze, widziałabym nie tylko dachy i kopuły, lecz także zamkowy dziedziniec, może tak mogłabym go – z wysoka – obejrzeć, skoro tak trudno dostać się tam normalnie,

przez bramę. Ale może nie trzeba wchodzić aż na dziedziniec, może wystarczy uważnie obchodzić mury, aż dostrzeże się wyraźne wybrzuszenie w trawie, długie na kilka metrów i szerokie na około metr. Może to właśnie tam spoczywa wraz z innymi ta, której śladami wciąż chodzę, Amalja Rozenberg z Warszawy? Choć badaczka pogromu w Złoczowie Anna Zapalec uważa, że to niemożliwe, że ten zbiorowy grób powinien być z drugiej strony murów. I może tam jest, porośnięty krzakami. Próbuję wejść w kłujący gąszcz, ale się nie udaje.

Wtedy brama na dziedziniec zamku była szeroko otwarta. Wrota piekiel, tak ją nazwał Szlomo Wolkowicz w książce o żydowskim pogromie 3 lipca 1941 roku¹.

Piszę teraz książkę o mojej okolicy, o pewnym niedużym mieście, w którym kiedyś, dawno temu mieszkali Żydzi. Piszę też o pogromach, które jakimś cudem zawsze je omijały, choć wszędzie wokół przelewano pogromową krew. Piszę i nie mogę przestać myśleć o tym, co czuła ta, której śladów i grobu wciąż szukam – trzydziestosiedmioletnia Amalja Rozenberg, gdy 3 lipca 1941 roku gnano ją wraz z innymi na zamek Sobieskich w Złoczowie i leciały na nią kamienie. Moja babka. Gdy umierała, była młodsza niż dziś jej prawnuki.

Poprzednie, przedzagładowe pogromy dawały szansę pamięci, w miastach i miasteczkach ofiary miały imiona i nazwiska, ktoś je żegnał w domu lub na cmentarzu, ktoś odmawiał kadisz nad ich grobem. Ktoś przekazywał ich nazwiska korespondentom gazet i na ich kartach przetrwały – nawet jeśli czasem pomyłone, niedokładnie zapisane, zniekształcone; i nawet mimo że tak szybko przyćmiła je Zagłada. Te z czasów Zagłady, mieszczące się w ramach „antysemityzmu eliminacyjnego”, że użyję słów Piotra Weisera², czyli antysemityzmu, który nawiedził latem 1941 roku „bezkresne przestrzenie Polesia, Podlasia, Podola”³, miały na celu całkowite unicestwienie ofiar, miały pogrzyźć je w zapomnieniu, w nieistnieniu – podobnie zresztą jak wszystkie inne zbrodnie tych czasów: morderstwa w obozach zagłady czy egzekucje nad dołami śmierci, wokół których dzisiaj rośnie las.

W opowiadaniu *Hans i ja na grobie Remu Yaffa Eliach* opisuje, jak w piękny letni dzień 1979 roku przechadzała się po starym cmentarzu żydowskim w Krakowie. Na obrośniętych roślinnością macewach wyrte były inskrypcje upamiętniające zmarłych, podkreślające ich zasługi i tytuły.

Szczęśliwi Żydzi! Pomyślałam sobie w duchu. Pamięta się o ich śmierci. Mają mogiłę, nagrobek, który mówi o ich życiu.

W kierunku Auschwitz widzę czarne chmury, nad Płaszowem przelatują stada wron. Nie ma nagrobków dla zamordowanych w Auschwitz, nie ma pomników dla dusz z Płaszowa. To my, żyjący, musimy opowiedzieć sześć milionów opowieści⁴.

Pogrom, w którym zginęła Amalja, też zasługuje na opowieść. Wśród tysięcy jego bezimiennych ofiar niech



Rynek w Żółkwi, 2023. Fot. Monika Sznajderman.

przynajmniej jej imię, i kilkanaścioro innych osób, pozostanie wśród nas.

Po co jednak do tego wracasz, pisałeś już przecież o tym w innej książce, pisałeś o młodej, pełnej życia kobiecie, którą spotkał taki straszny los. Napisałeś już tę opowieść, więc może czas ruszyć dalej? Po co wciąż przyjeżdżasz, szukasz śladów, nowych świadków, chodzisz po ulicach miasta i bierzesz je za swoje? Pośród różnych cieni tropisz jej sylwetkę, pośród różnych woni chcesz wyczuć jej strach.

Nie wiem, po co wracam, ale wciąż to robię. Może dlatego, że jeszcze niczego nie znalazłam. Choć sama nie wiem, czego tak naprawdę szukam.

Nie taki przecież miał być jej los. Nie do tego wychowywali ją rodzice: kupiec Szulim Rozenberg i Chana Gitla Gustawa, zwana Gucią, z domu Wajsbau, w dostatnim, spokojnym i ciepłym domu. Nie po to tak o nią, jedyną córkę, dbali, wysyłali na najlepsze pensje i studia. Po maturze w 1923 roku (polski zdała celująco) dostała się na Wydział Filozoficzny (sekcja: humanistyka) na Uniwersytecie Warszawskim, po dwóch latach przeniosła się na Wydział Prawny. Patrząc na jej drobne pismo na podaniu do rektora. Na studiach oprócz zajęć z filozofii, a później prawa, zajmowała się między innymi włoskim renesansowym poetą Torquatem Tasseem i jego epoką, zagadnieniami realizmu w estetyce, dziejami literatury barokowej w Polsce, uczyła się hiszpańskiego, angielskiego, włoskiego i francuskiego, studiowała psychologię mowy, poznania i zachowań zbiorowych oraz gramatykę historyczną języka włoskiego. Uczyla się o poezji francuskiej wieków średnich, ostatnich latach Balzaka, literaturze czasów Petrarcki i wielu innych zagadnieniach. Studiowała od 1923 do lata 1931 roku, osiem lat. Mimo tak wspaniałego programu i tak ciekawych wykładów wybitnych profesorów

nie było jej pewnie lekko. Na prawie od początku lat 20. panowały nastroje nacjonalistyczne: żydowskich studentów próbowano wykluczać na przykład z Koła Prawników Studentów Uniwersytetu Warszawskiego czy Towarzystwa Bratniej Pomocy, co stało się faktem w drugiej połowie dekady. Jak pisze Izabela Mrzygłód, 20 czerwca 1928 roku Senat UW zatwierdził, zgodnie z oczekiwaniami narodowców, zapis w brzmieniu:

Członkiem Koła może być każdy student(ka) wydziału prawnego UW z wyjątkiem studentów wyznania mojżeszowego lub tych, którzy to wyznanie porzucili, i studentów karanych sądownie za działalność komunistyczną⁵.

Jak komentuje badaczka:

Żądanie wykluczenia studentów żydowskich można wpisać w rozpoczętą pod koniec 1922 roku kampanię młodzieży narodowej i Narodowej Demokracji o wprowadzenie *numerus clausus* na wyższych uczelniach w Polsce⁶.

Nie należeli więc do żadnych stowarzyszeń czy naukowych kół ani Amalja, ani jej starszy brat Natan, który zaczął studia prawnicze w 1922 roku; w archiwum UW zachowały się dokumenty świadczące jego brak członkostwa. Patrząc na nie i odczytując po kolei: „nie należał”, „nie należał”. Jestem z nich dumna, że wytrwali (pewnie dzięki temu, że żydowscy studenci wspierali się, tworząc własne towarzystwa samopomocowe). Zwłaszcza że antysemickie nastroje gęstniały z upływem lat, a nawet miesięcy, konkretyzując się niebawem w żądania getta

ławkowego, *numerus clausus* i – w ślad za nim – *numerus nullus*, czyli całkowitego „oczyszczenia” uczelni z żydowskich studentek i studentów. Doprowadziły też do zamknięcia przed żydowskimi studentkami i studentami dostępu do aplikacji sędziowskiej i adwokackiej oraz do awantur z udziałem narodowców, związanych głównie z Młodzieżą Wszechpolską i z Oddziałem Akademickim Obozu Wielkiej Polski, zwanych „obwiepolakami”⁷. Aż wreszcie w 1938 roku w kole naukowym studentów prawa wprowadzony został tak zwany zaostrzony paragraf aryjski, odwołujący się wprost do rasistowskich ustaw norymberskich. Jak pisze Mrzyglód:

31 stycznia 1938 roku w trakcie nadzwyczajnego Walnego Zebrania bez sprzeciwu (jedynie przy sześciu osobach wstrzymujących się od głosu) przyjęty został zapis, że „członkami Koła nie mogą być wyznawcy religii mojżeszowej, ci, którzy tę religię porzucili, oraz ich zstępni do trzeciego pokolenia włącznie”. Ze wspólnoty wykluczono również „osoby, które obcują lub utrzymują stosunki z Żydami”⁸.

Tak, Amalja naprawdę miała szczęście, że już jej tam wtedy nie było, że skończyła studia wiosną lub latem 1931 roku i nie dostała kamieniem, pałką, kijem ani żadnym innym narzędziem, jakich używali przeciwko żydowskim studentkom i studentom ich polscy koledzy, że nikt siłą nie usuwał jej z uczelni. Że ustawy norymberskie dopadły ją dopiero po wybuchu wojny, a nie przed nią, wprowadzone pod naciskiem rówieśników i współobywateli.

Tęgo szczęścia nie starczyło jednak na długo. Zdąży jeszcze wyjść za mąż za Ignacego vel Icka Sznajdermana, mieć dwóch pięknych synów, rozwieść się, zdąży chyba spotkać nową miłość, prowadzić pensjonat w Śródborowie, pisać i nawet czasem publikować, zdąży jeszcze zapewne poczuć się spełnioną. Ale na tym koniec, bo zasób szczęścia nieubłaganie się kurczy i niebawem Amalja zginie w straszny sposób w obcym mieście, pod obcym niebem. Na dużo rzeczy w życiu ją przygotowywano, ale na to z pewnością nie.

Jak wiele innych osób, uciekła jesienią 1939 roku na wschód, do Złoczowa właśnie. „Uciekła” – to się tak łatwo i krótko mówi, a przecież to były całe dni, a może tygodnie strachu, nędzy, głodu i pragnienia. Ucieczki przed rabunkiem i gwałtami. Chowanie się przed naltami w rowach, niebezpieczna przeprawa przez Bug. Ale była młoda, silna, dała radę, nawet z synami. Do lipca 1941 roku pracowała w szkole niedaleko Złoczowa, nie w samym mieście (synów odda do szkoły z internatem, dyrektor będzie antysemitycznym sadystą). Dobrze, że tyle rzeczy umiała, choć z drugiej strony: kto uczyłby się o Balzaku, kto studiowałby włoski w tamtych wojennych czasach na tamtej dalekiej wsi?

To wszystko skończyło się 3 lipca 1941 roku, wkrótce po tym, jak do Galicji Wschodniej wkroczyli Niemcy i w Złoczowie, w piwnicach górującego nad miastem zam-

ku Sobieskich, wówczas będącego więzieniem, odkryto około sześciuset przede wszystkim ukraińskich i polskich, ale także żydowskich ofiar NKWD. Te ostatnie chętnie jednak przemilczano. To samo stało się w wielu innych miastach Galicji Wschodniej – we Lwowie, Brzeżanach i w Tarnopolu, w Drohobyczu, Schodnicy i w Borysławiu, w Sasowie i w Zaleszczykach, w Gródku Jagiellońskim, Samborze, Zbarażu i Skalacie, i w jeszcze innych jeszcze miejscach. I rozpętały się tam pogromy⁹. Zginęło wiele tysięcy ludzi. Jak to podczas pogromów, czas niewiele tu zmienia – bito i gwałcono, płańdrowano i grabiono, we wsiach zabijano Żydów narzędziami rolniczymi: widłami, siekierami, łopatami, pałkami i kosami, czasem zaś, podobnie jak w Jedwabnem, palono ich w stodołach. Mordowali esesmani, ukraińska milicja, ukraińska i polska ludność Złoczowa, chłopki z okolicznych wsi.

Pisałam już o tym, cytowałam świadków, ale pojawili się nowi i chcę ich powołać. Niech stworzą chór, niech mówią jeden przez drugiego, niech w powietrzu unosi się jak najwięcej słów, bo ich słowa to jedyne, co mam. Choć może te wszystkie słowa służą jedynie temu, by powstały między nimi „puste szczeliny”, że posłużę się cytatem z książki Piotra Pazińskiego¹⁰, by otworzyły się z nagła „tajemne przejścia” – do tego, co nienazwane, ledwie słyszalne, tak cicho obecne? Może w którejś z tych szczelin i przejść przystanie na chwilę ona, Amalja Rozenberg z Warszawy, zanim znowu rozplynie się w powietrzu?

Piekło zaczęło się w mieście – na targowicy, na rynku starego miasta, na ulicy Lwowskiej i podwórku Lippy Mehra przy Klonowicza, i jeszcze w innych miejscach, ale potem wszystkich pognano na dziedziniec zamku, wspomina w złoczowskiej Księdze Pamięci dr S. Altman¹¹. Po drodze pogromowy tłum zostawiał za sobą trupy – na bruku, w zaułkach i bramach, wrzucone do latryn. Pobite, zgwałcone, okaleczone.

Anna Ulreich, której nie pognano na zamek i której udało się ocaleć (straciła w pogromie dwóch kuzynów, wujka i teścia), po wojnie kierowniczką żydowskiego domu dziecka w Chorzowie, wspomina:

Już z rana w mieście była panika wśród ludności żydowskiej Złoczowa [...]. W południe koło godziny pierwszej [...] widziałam tłumy Żydów pędzonych przez Niemców oraz miejscowych ukraińskich nacjonalistów w kierunku więzienia, które mieściło się w starym zamku króla Sobieskiego. Żydzi byli pędzeni jezdnią, a po bokach szli Niemcy i Ukraińcy, którzy bili ich karabinami, kijami, żelazami, kamieniami – co komu popadło w rękę.

Wielu Żydów padało po drodze, zalewając się krwią. Cała droga w kierunku zamku była zasłana ciężko rannymi Żydami. [...]

Słychać było nieustającą strzelaninę, krzyki i jęki mordowanych. [...]

W pokoju była śmiertelna cisza, przerywana płaczem małych dzieci. My kobiety siedziałyśmy jak skamieniałe. W pewnej chwili przystąpiłam do okna i ujrzałam Żyda

skrwawionego w poszarpanym ubraniu, który szedł jak nieprzytomny wpatrzony błędnym wzrokiem przed siebie. [...]

Godziny wlokły się długo. Strzelanina na mieście nie ustawała. Była już godzina koło 6-tej, gdy niebo zasnuło się ciężkimi chmurami, jakby słońce chciało się ukryć przed okrutnym obrazem zbrodni hitlerowskich. Lunął ulewny letni deszcz¹².

Chaim Wittelsohn z Sosnowca, który na wschód uciekł jesienią 1939 roku, tak samo jak Amalja, był wśród tych gnanych na śmierć. Wspomina:

Po drodze na zamek Ukraińcy cięli w głowę i kark nieszczęsnych toporami, tak że doszliśmy już na wpół żywi. [...] Podczas tej masakry ze strachu zemdlałem, na mnie padały trupy, które mnie zakryły i dzięki temu się uratowałem¹³.

Fotograf Herman Levinter ocalał w ukryciu, zaś jego siostrzenica, jak Chaim Wittelsohn, schowała się pod ciałami, wśród których było też ciało jej matki, i nocą, w ulewnym deszczu, uciekła do domu¹⁴.

Adela Silber, urodzona w 1913 roku w Sokalu lub Strutyniu i mieszkająca w Złoczowie, ukryła się na strychu. Jej rówieśnik, pewnie krewny lub mąż, urodzony w tym samym mieście Izaak Silber w ucieczce rzucił się do rzeki, ale został złapany, oskarżony o bycie komunistą i wtrącony do więzienia, skąd wyprowadzano go do pracy w cegielni. Stamtąd uciekł. W złoczowskim pogromie stracił ojca, brata, dziadków, brata żony i wielu krewnych. Adela i Izaak przeżyli Zagładę, ukrywając się na podzłoczowskiej wsi.

Hersz Chaim Frommer (lub Fromer) był dzieckiem, gdy 3 lipca pognano go wraz ze starszym bratem Markusem na zamek do roboty. Mieli kopać doły i chować ciała ofiar NKWD. W wypracowaniu zatytułowanym „Jak przeżyłem okupację niemiecką”, zadawanym uczniom klas I, II i III żydowskich gimnazjów, pisał:

Prowadziła nas szumowina ukraińska, pełniąca funkcje milicji. Po drodze nie oszczędzono nam pałek i łopat. Gdy u stóp zamku złoczowskiego jeden z moich kolegów padł dobity łopata po głowie, zrozumiałem groźbę położenia¹⁵.

Frommer ocalał dzięki młodzieńczej sile przetrwania i sprytowi. Stale uciekał Niemcom (nawet z pociągu do Bełzca), tyfusowi i głodowi, ostatnie miesiące wraz z rodzicami i bratem przeżył w kryjówece w lesie. „Rodzina Fromerów jest wyjątkowa – pisze Joanna Tokarska-Bakir w książce *Kocia muzyka. Historia chóralna pogromu krakowskiego* – bo przetrwała Zagładę nieuszczerplona¹⁶. Po wyzwoleniu pojechali do Krakowa, w samą porę, by jeden z synów, nie wiadomo, czy Mojżesz, czy Hersz, został pobity w synagodze Kupa w krakowskim pogromie jedenaścgo sierpnia 1945 roku i zabrany na posterunek milicji, wraz z drugim bratem i matką.



Rynek w Żółkwi, 2023. Fot. Monika Sznajderman.

Wiosną dwa lata później popłynęli do Australii. Czy można wyjechać dalej?

Mam tylko te wspomnienia, z nich staram się wyczytać jej los. Obracam słowa na wszystkie strony, zaglądam pod podszewkę. Wsłuchuję się w ciszę między nimi. Choć przecież ani one, ani ta cisza nie powiedzą mi, jak zginęła – czy upadła, biegnąc po ulicach miasta, i już się nie podniosła, już nie poszła dalej, czy też zastrzelono ją na dziedzińcu lub może pod murem, tak jak Szońkę Golszteina, Gierszę Rotenberga, Mozesa Szwagera, Bronisławę Szwager, Arona Oksa, Lejwiego Brattera, Ryfkę Saljuman, Majera Szmuca, Wolfa Bliwsztejna, Szimona Szimela, Judę Winowicza (lub Binowicza), Izrailla Szulima Dancera i innych¹⁷? W pewnym momencie Niemcy zwolnili z zamku żydowskie kobiety i dzieci, może moja babka znalazła się wśród nich? Może zwolnili ją jednak, pozwolili uciec, ale na ulicy w dole dopadła ją tłuszczka? Wiele kobiet i dzieci spotkał taki los. Nie wiem i nie dowiem się już nigdy. Pozostaje mi tylko krążenie po złoczowskich ulicach i spacer w zieleni wokół murów zamku. Nasłuchiwanie słów i wyglądanie cieni. Wypatrywanie prześwitu, gdy rzeczywistość jak kurtyna nagle się rozsunie.

Bolesław Kapelman, przed wojną między innymi inspektor sportowy Makabi w Lublinie, uciekając przed Niemcami ze Lwowa, dotarł tylko do Złoczowa. Zatrudnił się jako medyk w szpitalu, z którego 3 lipca wyciągnięto cały personel, ustawiono pod ścianą i zaczęto strzelać. Strzelali ukraińscy chłopcy, którzy dopiero co dostali od Niemców broń, pisze Kopelman, i dlatego strzelali źle. Udało mu się uciec. Opowiadał potem:

Kiedy szedłem przez miasto, widziałem, że w każdej bramie stał Ukrainiec z łopatą albo motyką, i każdego Żyda, którego gnano na cytadelę, bili, a niektórych na miejscu zabijali. Z cytadeli, dokąd była zagnana ludność żydowska, rozlegały się wciąż strzały. Wśród ulewnego deszczu uciekłem z miasta, przez bagna i grzęzawiska¹⁸.

Bolesław Kopelman przeżył potem wiele piekieł, ostatnim było więzienie w Budapeszcie, gdzie zastał go koniec wojny.

„Spędzono Żydów na zamek Sobieskiego i tam bito ich i strzelano tak dalece, że droga wjazdowa do zamku zamieniła się w błoto od przelanej krwi żydowskiej” – doda Chaim Schöps z Sasowa¹⁹. Jego zeznanie spisano w kwietniu 1945 roku w Domu Uchodźców w Bukareszcie.

W czasie złoczowskiego pogromu, jak wszędzie indziej, rabowano też opuszczone żydowskie domy i mieszkania, wybijano szyby, wylamywano drzwi. Niszczono, co tylko dało się zniszczyć.

Po całym tym strasznym dniu noc eksplodowała – bólem konania, łzami, krwią. Tego dnia żydowska krew płynęła jak rzeka, wspomina dr S. Altman²⁰. Te łzy, ta rzeka krwi musiały spływać po zamkowym zboczach z jednej strony na Ternopilską, z drugiej na Pryhorodok, a dalej ulicą Maksyma Kryvonosa i po skrócie Bazarną może aż na rynek, wypełniać dziury w nierównej drodze, zatapiać domy na podzamczu. I może wciąż tam są, tworzą kałuże z nieprzejrzystą tonią, w których swój wieczny żywot toczy czarne błoto. Czy z tej wody, z tego błota dałoby się odsączyć tamtą krew i tamte łzy? Po to tu jestem, jak dziwaczna poszukiwaczka złota chodzę z małym sitkiem, potrząsam nim raz po raz i patrzę, czy coś połyskuje w słońcu.

Wokół zamku rosną bujnie krzewy, na zamkowe mury pną się głóg i róża, w październiku aż jarzą się złotem i czerwienią. Może dzięki temu tak rosną, może stąd w nich ta czerwień, że tyle krwi tam wsiąkło, tyle ciał tam leżało. Groby na zewnątrz murów, których daremnie wciąż szukam, schowane są w zieleni. Choć to nie groby właściwie, lecz – jak pisze Mateusz Florczak w eseju pod tytułem „*Popiół twoich włosów Sulamit*”. *Refleksje o nekroprzemocy w świadectwach Zagłady* – „cyniczna próba zatajenia zbrodni”²¹. Ofiary miały zostać całkowicie wyeliminowane – nie tylko fizycznie, lecz także z pamięci. Miały zostać pozbawione wszelkich praw, także do rozpoznania i pochówku, miały zniknąć na zawsze i na dobre. Dlatego właśnie, na przekór temu nieistnieniu i tej niepamięci, przyjeżdżam tu tak często, jak mogę, by odprawić rytuał anamnezy, mój prywatny obrzęd grzebalny.

Na żydowskim cmentarzu w Złoczowie, u zbiegu Lwowskiej i Polnej, nie ma ani jednej macewy. Jak okiem sięgnąć, tylko zrudziała w październiku trawa i pożółkłe krzaki. Ktoś posadził kilka drzewek, ale czy drzewka zastąpią macewy, czy powiedzą nam, kto tu żył, kto umarł, gdzie zginął i kiedy? W 2006 roku odsłonięty został pomnik ku uczci ofiar Zagłady, ale nie na nim imion ani żadnych nazwisk, tylko informacja, że je zamordowano, i to by było na tyle.

Ze Złoczowa okrężną drogą przez Schodnicę pojechaliśmy do Drohobycza. Było szaro, padało. Gdzieś dalej toczyła się wojna. Pogromy lubią się powtarzać w tych samych miejscach – te w 1898 roku w Galicji Zachodniej rozegrały się na tej samej geograficznie scenie co rabacja galicyjska pół stulecia wcześniej, w Schodnicy także – na długo przed 1941 rokiem – wybuchły gwałtowne i krwawe zamieszki w czerwcu 1897 roku (Daniel Unowsky pisze o „mongolskiej orgii” przemocy²²). Pochłonęły co najmniej dwie ofiary: jedną było żydowskie dziecko upuszczone przez brutalnie pobitą matkę, drugą uczestnik zamieszek zabity przez żandarmów²³. Uszkodzono i obrabowano około trzydziestu domów. W zamieszkach brało udział mniej więcej sześćset chrześcijańskich robotników, głównie z Galicji Zachodniej, którzy przybyli tu za pracą i którym Żydzi ostatecznie stawili opór; w Schodnicy rozegrała się regularna bitwa.

A przecież Schodnica ma też inne oblicze – a przynajmniej miała do lipca 1941 roku. We wspomnieniach mieszkających tam do Zagłady chasydów było to idylliczne, malownicze podkarpackie miasteczko, wcale nie we krwi tonące, lecz w kwiatach. Żyła w nim spokojnie duża, religijna rodzina Backenrothów. Ale oprócz kwiatów Schodnica tonęła też w czarnym złocie, które uczyniło ją bogatą. Wśród właścicieli szybów było wielu Żydów, między innymi właśnie Backenrothowie. Jednak nocą z 4 na 5 lipca 1941 roku, w czasie szabatu, z gór zeszedli ukraińscy chłopcy z tamtejszych wsi, do nich dołączyli mieszkańcy miasteczka, sąsiedzi i znajomi. Rano w lesie znaleziono „setki zmasakrowanych ciał [...] Ofiary zostały zastrzelone z broni, zadźgane nożami i widłami, porąbane siekierami” – czytamy w opowiadaniu *Stół dziadka Awrumche Backenrotha* Yaffy Eliach. Do zegnanych na miejsce kobiet, które miały pochować bliskich, niemiecki oficer powiedział: „«Ten las jest zbrukany żydowską krwią. [...] Wylizacie go własnymi językami, aż będzie nieskazitelnie czysty». I tak też musiały zrobić”²⁴.

Niemiecki oficer nie wiedział, że to lizanie nic nie da, że nawet wylizany do czysta językami żydowskich kobiet las już na zawsze będzie skażony. Że nie zapomni o tym, co się stało, bo las nie zapomina.

Następnego dnia ocalali z pogromu schodniccy Żydzi przedostali się do Drohobycza.

W samym Drohobyczu lipcowy pogrom pochłonął prawdopodobnie 47 ofiar, twierdzi zapytana przeze mnie Anna Zapalec, badaczka pogromów w powiecie złoczowskim. Jak wszędzie po nadejściu Niemców i odkryciu grobów ofiar NKWD. Jak pisze Henryk Grynberg w opowiadaniu *Drohobycz, Drohobycz*, opublikowanym w książce pod tym samym tytułem:

Ukraińcy z trójzębem na rękawach zagnali Żydów do odkopywania. Zbiegli się chłopcy w baranich czapach z widłami i siekierami. Żydzi zamordowali naszych! Odkopano doktora Aldersberga, doktora Nachta, doktora Pachtmana, sędziego Fruchtmanna, ale dla nich wszyscy zabici to byli chrześcijanie, a wszyscy NKWD-ziści to Żydzi którzy ich zamordowali. Zadźgali i zarąbali tych, co

odkopywali zabitych, i setki innych Żydów. Wyprowadzali niby do pracy, a tam tłuszcza czekała z łomami i kijami. Bili na ulicach, plądrowali domy, zdzierali zegarki, pierścionki, wrywali kolczyki. Niemcy im pozwalali²⁵.

„Niemcy pozwalali Ukraińcom pogulać z Żydami – wspomina z kolei mieszkanka Drohobycza Adela Bar-Eli (Hilzenrad). – To było ich wyrażenie, pogulać²⁶. To gulanie wyglądało na przykład tak:

Wróciła jedna dziewczyna z sądu i opowiadała. Zaciągnęli ją do sądu na ten dziedziniec, położyli ją na ziemi i zaczęli tańczyć na jej brzuchu kozaka [...]. Z boku stał jej profesor. Ona była uczennicą w liceum i ona się zwraca do niego: „Profesorze, ratuj mnie, co oni tutaj ze mną robią!”. A on obojętnie, to był Ukrainiec, taki zagorzały antysemita. Odwrócił głowę²⁷.

„Pogrom był straszny. Ukraińcy po prostu krajali ludzi żywcem na ulicy”, donosił inny świadek.

Ci sami Niemcy, prawdopodobnie w obawie przed nadmiernym rabunkiem dokonywanym przez Polaków, powstrzymali wreszcie pogrom – według świadka, ośmioletniego wówczas Kornela Nadla, po czterech godzinach²⁸. Z kolei trzydziestopięcioletnia wówczas Zofia Cukier zeznaje, że „od razu wybuchł pogrom za zezwoleniem Niemców, który trwał 24 godziny. Była to tzw. pohulanka ukraińska²⁹.

Jak z niepokojem i gniewem w relacji z poszukiwania mieszkania dla siebie i innych niemieckich funkcjonariuszy Zagłady zauważa Felix Landau – ten sam, który tak cenił sztukę i którego protegowanym był Bruno Schulz – Ukraińcy bardzo szybko poczuli się w Drohobyczu jak władcy, plądrowali i rabowali bez miary. A to się nie mogło prawdziwym władcom spodobać³⁰.

Ale zanim pogrom ucichnie, uciekinierka ze Schodnicy Stella Backenroth zdąży zobaczyć, jak gestapowiec Landau wywołał z ukrycia drohobyckie dzieci, pytając, czy chcą lizaki. Miał ich w kieszeniach bardzo dużo. Pytał po kolei, czy chciałyby lizaka. Te, które chcą, mają otworzyć usta. Lecz w tę otwartą dziecięcą buzię zamiast słodkiego lizaka wlatywała kula o smaku metalu. Jak pisze Yaffia Eliach: „Stella zemdlą. (Do dziś robi jej się słabo, kiedy widzi lalki. Dla niej wydają się być one tymi małymi, martwymi ciałami niewinnych dzieci, leżącymi na ulicy w Drohobyczu)³¹.

Może był w tym wszystkim ukryty plan gestapowca Landaua? Może po to chronił Brunona Schulza, by zmusić go do patrzenia na dzieci jak lalki rozrzucone na ulicach jego miasta? Może spodobał mu się ten obraz i chciał, by Schulz go dla niego narysował?

Według statystyk Judenratu trzynaście spośród wszystkich ofiar pogromu pochowano na starym cmentarzu żydowskim, a osiemnaście na dziedzińcu NKWD. O reszcie świadectwa milczą. Gdzie pochowano dzieci, nie wiadomo.

Sam Bruno Schulz 3 listopada – „dzień grozy”³² – spędził w swoim domu, wraz z uczniami i przyjaciółmi Marianem Knopffem, Emilem Górskim (Samuelem Bergmanem) oraz Arturem Sandauerem. W liście do Jerzego Ficowskiego Marian Knopff pisał:

Głównym tematem naszych rozmów była otaczająca nas rzeczywistość. Pamiętam, że Schulz niewiele mówił i chyba czuł jakiś spotęgowany lęk – robił wrażenie jakby usztywnionego (określiłbym to po francusku *prostemé*), zastygłego, utkwily mi w pamięci z tego obrazu jego rozszerzone oczy... On doznawał na pewno wszystko to, co danym nam było przeżyć, w sposób bardziej intensywny od nas!³³

W liście do Stanisława Ignacego Witkiewicza Bruno Schulz pisze tak:

Są treści niejako dla nas przeznaczone, przygotowane, czekające na nas na samym wstępie życia [...]. Takie obrazy stanowią program, statuują żelazny kapitał ducha, dany nam bardzo wcześnie w formie przeczuć i na wpeł świadomych doznań³⁴.

Najistotniejsze, „rozstrzygające” obrazy, jakie ma się w głowie, pochodzą z wczesnych lat dzieciństwa. „Grają one rolę tych nitek w roztworze, dookoła których krystalizuje się dla nas sens świata”³⁵. Taką nitką w roztworze było dla Schulza wspomnienie nocy, przez którą niósł go w ramionach ojciec.

Ojciec tuli je, zamyka w ramionach, odgradza od żywiołu, który mówi i mówi, ale dla dziecka ramiona te są przeźroczyste, noc dosięga je w nich i poprzez pieszczoły ojca słyszy ono nieustannie jej straszliwe perswazje. I znękanie, pełne fatalizmu, odpowiada na indagacje nocy, z tragiczną gotowością, całkiem zaprzędane wielkiemu żywiołowi, od którego nie ma ucieczki³⁶.

Więc być może to z otchłani dzieciństwa pochodzą ten obraz i te słowa:

Noc lipcowa! Tajemniczy fluid mroku, żywa, czujna i ruchliwa materia ciemności, nieustannie kształtująca coś z chaosu i każdy kształt natychmiast zarzucająca! Budulec czarny piętrzący dookoła sennego wędrowca pieczary, sklepienia, wnęki i nyże! Jak natrętny gaduła towarzyszy ona samotnemu wędrowcowi, zamykając go w kręgu swych widziadeł, niezmordowana w wymyślaniu, bredzeniu, fantazjowaniu – halucynując przed nim gwiazdne dale, białe drogi mleczne, labirynty nieskończonych kolosów i forów. Powietrze nocy, ten czarny Proteusz formujący dla zabawy aksamitne zgęszczenia, pasma jaśminowej woni, kaskady ozonu, nagłe bezpowietrzne głusze rosnące jak czarne banie w nieskończoność, potworne winogrona ciemności, wezbrane ciemnym sokiem³⁷.

Czy Bruno Schulz, pisząc w 1928 roku opowiadanie *Noc lipcowa*, przeczuwał już, mógł sobie wyobrazić mrok, który miał nadciągnąć niebawem? Czy widział przed oczami ciemność, w której miał się pogрузić świat? Czy byłby w stanie przewidzieć krwawą noc lipcową trzynastcie lat później, w 1941 roku? Jak pisze w *Atlantydzie. Opowieści o Wielkim Księstwie Balaku* Andrzej Chciuk,

Mój młodszy kolega szkolny Ruderemann opowiadał mi, a i podobną relację mam od Wilusia Gendali-Haendla, starszego znowu kolegi, że gdy pomagał nosić Schulzowi sztalugi i farby na Łan (dzielnica żydowska), spytał go, czemu tak uparcie rysuje i maluje tamże biedne domki i brodatych Żydów. „Bo to wszystko wkrótce zniknie z powierzchni ziemi, zginie, zmiecione burzą, jaka idzie. Trzeba to zanotować, malować, rozumiesz, dlatego!...” – odpowiedział³⁸.

Więc czy rzeczywiście przewidywał, wiedział?

Z pewnością nie, tak strasznych rzeczy nie da się przewidzieć chyba nawet w najczarniejszych snach. Choć nie był też całkiem niewinny, bo niewinny nie był jego świat, uważa Piotr Paziński. Pierwsza wojna światowa, upadek cesarstwa, w którym dorastał, i *der churbn* straszliwych pogromów odcisnęły na nim gorzki ślad. „Krajobraz Schulza utracił niewinność znacznie wcześniej niż w epoce, gdy tory kolejowe prowadziły wprost na rampę”, pisze Paziński³⁹.

Miał przeżyć jeszcze ponad rok. Ponad rok dłużej niż Amalja. Musiał wiedzieć, co działo się w tym czasie, i zasypiając, mieć pod powiekami, i potem, już w getcie, głodny, chory, pozbawiony nadziei, robił notatki z tych dni męczeństwa i cierpienia. Niestety nic z tego nie przetrwało. Papier może zetleć lub spłonąć, papier można podrzeć i unicestwić na zawsze, ale gdzie podziały się jego spojrzenie, rozpacz, strach? Nie mogły tak zniknąć bez śladu. Gdzieś to wszystko musi przecież być.

Przypisy

- ¹ Por. Szlomo Wolkowicz, *Wrota piekieł*, Aria, Warszawa 1995.
- ² Piotr Weiser, „Pogrom trwa dzień, kilka dni, miesiąc, teraz trwa on bez końca...”. *Zagłada bez Niemców*, „Teksty Drugie” 2020, nr 3, s. 137.
- ³ Tamże.
- ⁴ Yaffa Eliach, *Hans i ja na grobie Remu*, [w:] *Chasydzkie opowieści z czasów Holokaustu*, przeł. Mirosław Wójcik, Zakład Wydawniczy „Nomos”, Kraków 2014, s. 238.
- ⁵ Izabela Mrzygłód, *Paragrafy dla narodu. Antysemicka radykalizacja Kola Prawników Studentów Uniwersytetu Warszawskiego w okresie II Rzeczypospolitej*, [w:] *Polityka. Między współpracą a odrzuceniem – Żydzi Polacy w XIX i XX wieku*, red. Zofia Trębacz, Żydowski Instytut Historyczny, Warszawa 2021, s. 81.
- ⁶ Tamże, s. 79.
- ⁷ Por. Monika Natkowska, *Numerus clausus, getto lawkowe, numerus nullus*, „paragraf aryjski”. *Antysemityzm na Uniwersytecie Warszawskim 1931–1939*, Żydowski Instytut Historyczny IN-B, Warszawa 1999.

- ⁸ I. Mrzygłód, *Paragrafy dla narodu*, dz. cyt., s. 84.
- ⁹ Por. Witold Mendykowski, *W cieniu gigantów. Pogromy 1941. roku w bylej sowieckiej strefie okupacyjnej. Kontekst Historyczny, społeczny, kulturowy*, Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 2012.
- ¹⁰ Piotr Paziński, *Rzeczywistość poprzecierana*, Austeria, Kraków–Budapeszt 2015, s. 8.
- ¹¹ Księga Pamięci Złoczowa: www.jewishgen.org/yizkor/Zolochiv1/zole029.html, dostęp: 25.10.2024.
- ¹² AŻIH, Relacje, sygn. 301/3285. W istocie zginęło wówczas od 1400 do 2100 osób; pisze o tym Anna Zapalec w tekście *Powiat złoczowski*, [w:] *Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski*, t. 1, red. Barbara Engeling, Jan Grabowski, Stowarzyszenie Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Warszawa 2018, s. 661.
- ¹³ AŻIH, Relacje, sygn. 301/531.
- ¹⁴ USC, VHA, 8443.
- ¹⁵ AŻIH, Relacje, sygn. 301/1793/7.
- ¹⁶ Joanna Tokarska-Bakir, *Kocia muzyka. Historia chóralna pogromu krakowskiego*, t. I, Czarna Owca, Warszawa 2024, s. 47.
- ¹⁷ Anna Zapalec, *Powiat złoczowski*, dz. cyt., s. 660.
- ¹⁸ AŻIH, Relacje, sygn. 301/801.
- ¹⁹ AŻIH, Relacje sygn. 301/4991.
- ²⁰ Por. www.jewishgen.org/yizkor/Zolochiv1/zole029.html, dostęp: 7.11.2024.
- ²¹ Mateusz Florczak, „Popiół twoich włosów Sulamit”. *Refleksje o nekroprzemocy w świadectwach Zagłady*, [w:] *Nekroprzemoc. Polityka, kultura i umarli*, red. Jakub Orzeszek, Stanisław Rosiek, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2022, s. 293.
- ²² Por. Daniel Unowsky, *The Plunder. The 1898 Anti-Jewish Riots in Habsburg Galicia*, Stanford University Press, Stanford 2018, s. 43. Por. także: T. Buchen, *Antisemitismus in Galizien...*, dz. cyt., s. 133.
- ²³ Por. „Dziennik Krakowski”, 15–16 czerwca 1897.
- ²⁴ Y. Eliach, *Stół dziadka Awrumche Backenrotha*, [w:] tegoż, *Chasydzkie opowieści...*, dz. cyt., s. 252–253.
- ²⁵ Henryk Grynberg, *Drohobycz, Drohobycz*, [w:] tegoż, *Drohobycz, Drohobycz*, W.A.B., Warszawa 2012, s. 31.
- ²⁶ Por. „Świat NIEpożegnany. Żydzi na dawnych ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej w XVIII–XX wieku, praca zbiorowa, red. Krzysztof Jasiewicz, Warszawa 2004, s. 769.
- ²⁷ Tamże.
- ²⁸ Tamże.
- ²⁹ Katarzyna Thomas, *O pogromie w Drohobyczu w 1941 roku w świetle materiałów z Archiwum Yad Vashem*, [w:] „Studia Żydowskie. Almanach”, 31.12.2015, s. 126.
- ³⁰ Tamże, s. 128.
- ³¹ Y. Eliach, *Na powrót wśród ludzkości*, [w:] *Chasydzkie opowieści...*, dz. cyt., s. 255.
- ³² Bruno Schulz w oczach świadków. *Listy, wspomnienia i relacje z archiwum Jerzego Ficowskiego*, Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2022, s. 140.
- ³³ Tamże.
- ³⁴ Bruno Schulz, *Księga listów*, zebrał i przygotował do druku Jerzy Ficowski, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2002, s. 100.
- ³⁵ Tamże.
- ³⁶ Tamże.
- ³⁷ Tenże, *Noc lipcowa*, [w:] tegoż, *Sanatorium pod Klepsydrą*; <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/schulz-sanatorium-pod-klepsydra-noc-lipcowa.html>, dostęp: 10.01.2023.
- ³⁸ Andrzej Chciuk, *Atlantyda. Opowieść o Wielkim Księstwie Balaku*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1969, s. 63.
- ³⁹ P. Paziński, *Rzeczywistość poprzecierana*, dz. cyt., s. 319.